

# Jadwiga Bryczkowska



**Sezam tajemnic**

KLIN

**Jadwiga  
Bryczkowska**

**Sezam tajemnic**



Redakcja: EWA KŁOSIEWICZ  
Korekta: MAŁGORZATA KOT  
Projekt okładki: NATALIA SMOLEŃ

Copyright by © Wydawnictwo **Klin**,  
Warszawa 2015

ISBN 978-83-62136-81-0

Wydawnictwo **Klin**  
ul. J. Sobieskiego 10 m 72  
02-957 Warszawa  
tel. +48 501 686 786  
e-mail: [m.g.klin@op.pl](mailto:m.g.klin@op.pl)  
[www.wydawnictwoklin.pl](http://www.wydawnictwoklin.pl)

*Moim Dzieciom i Wnukom  
z miłością*

Wracaliśmy do domu. Do naszego nowego domu. Nowy dom, nowy samochód i inne dobrodziejstwa mieliśmy od niedawna. Konkretnie w lutym cały nasz dotychczasowy świat stanął na głowie, zatrzęsł się w posadach i los, a właściwie Adrian, pozwolił nam się tarzać w tych dzisiejszych luksusach. Mimo drastycznych zmian, woda sodowa wraz z majątkiem do głowy mi nie uderzyła. Już wiem, że kurą domową nie będę, bo bym się w szybkich abugach zestarzała. Podejmę pracę i od września będę uczyła. W Lesku. Szkołę obejrzeliśmy dokładnie, bo, było nie było, przyjdzie nam codziennie spędzać w niej kilka godzin. Ja osobiście

byłam zachwycona, gdyż mam przedziwne upodobanie do starych ruder. Rafał i Jola znacznie mniej. Cóż, de gustibus non est disputandum, gusty pokoleń są różne, ale pocieszyłam bliźniaki, że rok im zleci, a potem to już mogą sobie uczelnie wybierać do upojenia, według własnego widzimisię. Wyprawę do Leska uważałam za udaną, choć męczącą. Właściwie zmęczył nas upał. Z nieba lało żarem jak, nie przymierzając, w tropikach, wiaterku najmniejszego nie uświadczyłeś, a na dodatek Karat sapał jak miech kowalski, robiący w akordzie. Wyczerpane eskapadą psisko padło między pakunki w tyle nissana, mordę ułożyło Jolce na kolanach i patrzyło jej z miłością bezgraniczną w oczy. Rafał usiłował czytać jakieś komputerowe piśmidło, ale nie za bardzo mu to wychodziło.

— Wiecie, dziewczyny, kocham was i kocham Pogorzeliska — odezwał się nagle ni z gruszki, ni z pietruszki, zamykając gazetę i głaszcząc Karata po łbie.

Pogorzeliska... Pogorzeliska spadły nam z nieba, a właściwie wtargnęły w nasze życie wraz z listem poleconym pewnego brzydkiego, ponurego i deszczowego lutowego dnia 1996 roku. Wracałam ze szkoły zirytowana, bo od samego rana nic mi nie wychodziło, a dokładniej rzecz ujmując, wszystko szło na opak. Ostatnią parę rajstop szlag trafił na jakiejś parszywej zadrze w krzesle w IIIb, Jagoda — moja najlepsza przyjaciółka — milczała w kwestii zwrotu długu jak zakłeta, a dyrektor wymyślił sobie szkolenie przeciwpożarowe akurat w tym czasie, kiedy zamierzałam robić korektę książki. Żeby było śmieszniej, to wyglądałam jak

zmokły kurczak, bo oczywiście nie zabrałam z domu parasolki. Kurczak z merechą na nodze.

— Jest poczta. Polecona — rzekła moja córka, strojąc jednocześnie głupawe miny do lustra. — Podpis za ciebie machnęłam, bo inaczej trzeba byłoby latać do urzędu.

Skutecznie podtrzymywałam wizję śmiertelnie obrażonej na Jolkę, więc udałam, że żadne listy, już tym bardziej polecane, nic mnie nie obchodzą. Smarkuła zakichana. Od dwóch dni nie mogłam bez nervosolu patrzeć spokojnie w jej kierunku. W każdym razie nie chciałam oglądać jej nowej, podobno szalowej, fryzury. Zawsze szczyliła się swoją szopą puszystych, popielatoblond włosów. Co jej wpadło do głowy, żeby zrobić z siebie ryżą małpę z trwałym kołtunem, nie miałam najmniejszego pojęcia. Wyglądała okropnie, prawie jak małolata spod latarni.

Torbę z zakupami postawiłam na stole, niech ten rudzielec farbowany z zawartością zrobi porządek, i podejrzliwie pociągnęłam nosem. Zapach jarzynówki doleciał mnie już na schodach, ale...

— Coś jeszcze oprócz sfalszowanego podpisu zmajstrowałaś? — zapytałam bardzo grzecznie, bo Jolka nigdy nie robiła niczego bezinteresownie. Prace kuchenne traktowała jako zło konieczne, a przy tym naprawdę była niewydarzoną gospodynią. Tłukła szkło, jakby jej za tę czynność ekstra dodatek do kieszonkowego dopłacano, albo z zaparciem przypalała garnki.

— No co ty? — odparła niezwykle łagodnie. — Nie było matmy i zwolnili nas z wuefu. Przecież wiem, że jarzynówkę uwielbiasz, to tak sobie pomyślałam...

Zamilkła znacząco i wiedziałam dokładnie, że teraz nastąpi jakaś wielka, niemożliwa do zrealizowania prośba. Udawałam głupią, głuchą kompletnie i niezainteresowaną. Z zapalem zamieszałam warzywa w garnku, posmakowałam i dosypałam pieprzu.

— Jak dorzucisz liść laurowy, ziele angielskie i trochę vegety, to zupa będzie cud miód — dodałam.

Przy vegecie Jolka się załamała.

— A jutro prosto po lekcjach idę do Iwony obejrzeć małe spanielki. Jej suczka ma sześć, malutkich i rudych. Wolisz pieska czy sunię, bo jeden szczeniaczek jest dla mnie.

Nie chciałam żadnej absolutnie płci. Ani żeńskiej, ani męskiej odmiany. A już tym bardziej spaniela. Naszego kochanego spaniela Apsika dostałam od Andrzeja w pierwszą rocznicę naszego ślubu. Razem z Andrzejem przyszedł i razem z nim odszedł. Wracali razem z psiej wystawy we Wrocławiu, ze złotym medalem. Z tym medalem wpadli pod pijanego kamaza. To coś bolesne, tkwiące w moim jestestwie, głęboko skrywane zadrgało niebezpiecznie z powodu spanielowego szczeniaka. Nic z tego. Nie dam się zrobić w żadne psy. Od śmierci Andrzeja ja byłam głową rodziny i mimo demokratycznych jak najbardziej stosunków domowych, w istotnych sprawach głos miałam decydujący. Z priorytetu zamierzałam skorzystać. Moje dziecko patrzyło na mnie wzrokiem zbitego spaniela.

— Rafał obiecał, że też będzie z nim wychodził, a legowisko zrobimy mu w przedpokoju z tego starego zielonego koca.

— A potem będziemy chodzić bez butów — odparowałam.

— Boso?

Moje dzieci miały tak zielone pojęcie o wychowaniu szczeniaka jak, nie przymierzając, zielony koc na przysze psie legowisko, i o tym, co znaczy mieć szczeniaka w dwóch pokoikach, mikroskopijnej kuchni i łazience o powierzchni dwóch budek telefonicznych.

— Gdzie ta poczta? — spytałam, żeby zmienić temat rozmowy.

— Tam gdzie zawsze — kiwnęła głową w stronę lodówki.

Ale na lodówce nie było żadnego listu. Zaczęłyśmy na gwałt poszukiwać tej poleconej przesyłki we wszystkich możliwych miejscach. Zajrzałam nawet do zamrażalnika, a Jolka z nadzieją uniosła pokrywkę z gotującej się zupy. Okazało się, że list był pod torbą z zakupami.

Matko Boska, nikogo z Leska nie znam. Oglądałam tę kopertę na wszystkie strony, podejrzliwie i nieufnie. Nawet powąchałam, ale pachniała zupełnie normalnie. Pieczętka w rogu jak byk informowała, że pismo urzędowe. „Biuro Notarialne. Notariusz mgr Marek Skąpski, Lesko”. Chyba miałam niezbyt mądrą minę, bo moje dziecko bez słowa wyjęło mi tę kopertę z dłoni i zaczęło ją rozrywać.

— Chyba mam konstytucyjne prawo do tajemnicy korespondencji — warknęłam, wrywając jej sztywny, kredowy kartonik.

Czytałam tych kilka zdań już po raz trzeci i chyba nie docierało do mnie to, co czytałam. Magister Skąpski uprzejmie informował, że Jolanta i Rafał Kalinowscy są jedynymi spadkobiercami śp. Adriana Kalinowskiego. Mam mu przysłać jako prawny opiekun małoletnich spadkobierców oświadczenie — potwier-



dzione notarialnie, dodawał, — czy przyjmujemy spadek, czy też go może odrzucamy. Jaki spadek? Po kim? Kto to jest, a właściwie był, śp. Adrian Kalinowski?

Pytania przelatywały przez moją głowę z szybkością samolotu naddźwiękowego, a ja gapiłam się w ten świstek jak sroka w gnat.

— Mama — szepnęła Jolka za moimi plecami, — Adrian to chyba tata naszego taty?

— No jasne, Adrian to mój teść.

Teść, którego nigdy w życiu nie widziałam na oczy. Nie był na naszym ślubie, nie chciał o nas nic wiedzieć, nie znał własnych wnuków. Pamiętam, że napisał do Andrzeja tylko jeden jedyny list. Bardzo krótki, ale treściwy list. „Nie waż się, synu, popełniać mezaliansu, albo przestaniesz być moim synem”. I tyle. Niby ja byłam tą niższą, niegodną sferą. Majątki Kalinowskich zabrała wojna, przesunięta na zachód wschodnia granica i nowy, socjalistyczny ustrój, ale sfery towarzyskie w mentalności starszego Kalinowskiego pozostały. Nigdy nie rozmawialiśmy o moim teściu. Nawet nie wiedzieliśmy, gdzie mieszka i co się z nim dzieje. On sam też się nami nie zainteresował. Nie poznał ani synowej, ani wnucząt. Teraz nie żyje i z zaświatów obdarza nas własną schedą. Rafał zastał nas w godzinę później, pochyłone nad płachtą mapy samochodowej.

— Gdzie się wybieramy? — zapytał od drzwi.

Lubił wycieczki i wszelkiego rodzaju eskapady, ale zawsze się do nich solidnie przygotowywał.

— Dostaliśmy ranczo w spadku po dziadku Adrianie — powiadomiła go grzecznie Jola, stukając palcem w Bieszczady. Gdzieś tutaj jest wieś Pogorzeliśka — za-

kreśliła okrągłe kółeczko wokół Leska. — Jesteśmy bogaci jak te hinduskie nababy.

Rafał popatrzył poważnie na mapę, na Jolkę, a potem puścił do mnie oko i znacząco postukał się w czoło.

Załatwianie wszystkich formalności związanych z przejściem spadku spadało na magistra Skąpskiego jako wykonawcę testamentu. Magister Skąpski miał miły, kulturalny głos, kiedy dzwonił do nas, żeby na bieżąco informować o kolejnych poczynaniach w sądzie i w urzędach. Tym miłym, kulturalnym głosem powiadomił nas, że Pogorzeliska to nazwa dziadkowej 200-hektarowej stadniny, gdzie na połoninach pasie się 78 koni czystej krwi. Poza tym jest cały kompleks zabudowań stajenno-gospodarczych i obszerny „dwór”. Tego „dworu” za chińskiego mandaryna nie mogłam sobie wyobrazić.

Raz widziałam go jako dwór Sopliców — taki na rycinach w Panu Tadeuszu, innym razem był to bez mała pałac Michorowskich.

\* \* \*

— Czy my dalej będziemy hodować konie?

Głos Joli, przekrzykującej szum silnika, wyrwał mnie z głębokiego zamyślenia, ale odpowiedzi udzielił jej Rafał.

— Co głupio pytasz, jasne że będziemy. Już się zdecydowałem — dodał po chwili, zamykając książkę. —

Idę na weterynarię, bo lekarz będzie w Pogorzeliiskach potrzebny zawsze.

Mój syn myślał i patrzył przyszłościowo. Pewnie, że weterynarz w stadninie to osoba tak niezbędna, jak finka i menażka na obozie harcerskim. Do tej pory przyjeżdżał do stadniny codziennie doktor Murawski, a na miejscu dzień i noc czuwał nad wszystkim Kamil. Kamil wiedział wszystko i o wszystkim, co się dzieje w domu, w stajniach i na łąkach. Od dziecka służył mojemu teściowi. Razem przeszli wojnę, powojenną tułaczkę na Zachodzie, razem odbudowywali zniszczoną Gdynię i wreszcie razem żyli i pracowali w Pogorzeliiskach.

— Ile lat ma Kamil? — spytał.

— Nie patrzyłam w metrykę.

— Nie tak stary jak był dziadek Adrian — odrzekł Rafał. — Mówił mi, że w czasie wojny był ordynansem dziadka i był wtedy w moim wieku.

W samochodzie znów zapadła nużąca cisza, a moje myśli chwyciły poprzedni wątek. Formalności z likwidacją mieszkania w Płocku ciągnęły się cztery miesiące. Nie chciałam i nie mogłam porzucić pracy w ciągu roku szkolnego. Musiałam też skończyć „Dzień wczorajszy” — ostatnią swoją książkę fantastyczną dla młodzieży. Terminy goniły jak sfora psów za zajęciem, wydawca naciskał, a ja miotałam się między szkołą, maszyną do pisania i potencjalnymi klientami na nasze mieszkanie wraz z dobytkiem. Wyperswadowaliśmy też Joli spaniela od Iwony. I w tym przypadku mój syn był bezkonkurencyjny.

— Czyś ty już całkiem upadła na ten swój ryży łeb, czy ci marcowe słonko dogrzewa? — zapytał jed-

nego wieczora uprzejmie. — Przecież na takim gospodarstwie jak nasze, nikt zdrowy na umyśle nie trzyma w domu kanapowca, tylko porządnego, mądrego wilczura.

— A jak tam nie ma wilka, to co, z lasu go sobie przytaszczę? — odgryzła się Jola.

— Z żadnego lasu, ty myślisz, że Lesko to już taka dziura, że nawet schroniska dla zwierząt nie ma? — odparował. — A jak nie ze schroniska, to od jakiegoś sąsiada. Tam wszyscy mają wilki — dodał jeszcze.

Nie byłam taka pewna, czy wszyscy sąsiedzi mają wilczury. Nie byłam nawet pewna, czy w pobliżu będziemy mieli jakichś sąsiadów. Pamiętam Bieszczady z lat sześćdziesiątych. Byłam tam tylko jeden jedyny raz na wycieczce szkolnej, i wtedy był to polski „Dziki Zachód” – piękny, tajemniczy i groźny. Można było pół dnia iść i iść i nie spotkać żywej duszy. I wiedziałam jeszcze, że w bieszczadzskich lasach są prawdziwe wilki. I niedźwiedzie. I żmije.

W każdym razie Jola zrezygnowała ze spaniela. Ma teraz doga. Potężnie zbudowany, młody i mądry Karat siedział niespokojnie obok nogi Kamila, kiedy po raz pierwszy przyjechaliśmy do Pogorzelsk.

— Nie możesz kupować kota w worku — tłumaczyła moja serdeczna przyjaciółka. — Musisz pojechać zobaczyć, co tam jest. A może w domu sufit wali się na łeb, a sracz jest 100 metrów od tego „dworu”? Wersal był pałacem królewskim — perswadowała, — a sraczy w nim było tyle, co na lekarstwo i wszyscy załatwiali się po kątach — dodała zadowolona, nie wiem z jakie-

go powodu. — Smród tam się musiał unosić niemożliwy i zaraza wybuchała w tym królewskim przybytku raz po raz. Nic dziwnego, że się wreszcie lud paryski temu sprzeciwił i zlikwidował monarchię.

Tematu nie podtrzymywałam, bo rzeź urządzona w czasie rewolucji francuskiej była dla mojej wrażliwej duszy czymś potwornym i zbyt makabrycznym, aby się nad nią rozwodzić. Poza tym wierzyłam jej na słowo. Było nie było, historyk powinien znać historię nie tylko z podręczników szkolnych, więc o tych sra-czach chyba mówiła prawdę. Miałam też inny, bardziej prozaiczny powód odwiedzenia naszych nowych dóbr doczesnych, niż tylko sprawdzenie stanu użyteczności domu i obejścia. Musiałam podpisać jakieś papiery u magistra Skąpskiego, więc nasza wiosenna eskapada i rekonesans były ze wszech stron wskazane.

Lesko nie zrobiło na nas przyjemnego wrażenia. Zmęczonych całonocną jazdą pociągami i autobusem powitał nas na dworcu nasz magister i zagnał od razu do samochodu.

— Kamil czeka na państwa ze śniadaniem, więc nie będziemy się nigdzie zatrzymywać — mówił, ładując jednocześnie do bagażnika nasze torby.

A potem już była nie jazda, ale jedna długa bajka, albo może sen. Soczysta, świeża zieleń traw i drzew, dobra asfaltowa droga, przecinająca zalesione góry i aromatyczne powietrze.

— Zimą odśnieżana — wpadł w moje myśli magister, tym swoim miłym głosem, — więc nie będzie problemów z dojazdem do szkoły naszej wspaniałej

młodzieży — dodał, patrząc przeciągle na moją córkę.

Jolka ignorowała jego zachęcające spojrzenia, ale mnie szlag trafiał co i rusz. Stary dziadygo — pomyślałam mściwie, — mógłbyś być co najmniej dziadkiem mojej córki. Nie, nawet ja bym na niego nie spojrzała przychylnym okiem mimo tego miłego, kulturalnego głosu. Ten głos pasował do postaci jak wół do karety. Takim głębokim barytonem powinien czule szeptać dojrzały, wysoki szatyn o wysportowanej sylwetce, męskiej twarzy i błękitnych oczach, wpatrzonych we mnie bez przerwy. No, może nie bez przerwy, bo od czasu do czasu powinien rzucać tym błękitem na drogę. Tymczasem nasz magister był niski, gruby, łysawy i stary. Nie mam zwyczaju krytykować wyglądu bliźnich, nie ich wina, że stali w innej kolejce, gdy Bozia obdzielała rozumkiem i walorami zewnętrznymi, ale magister Skąpski był prowincjonalnym snobem nie w moim guście. Mimo miotających mną negatywnych odczuć, podtrzymałam konwersację z magistrem, pomna że to właśnie on był tym dobrym posłańcem mojego teścia i że siedzimy w jego samochodzie.

— Czy nasz fiacik będzie jednak odpowiedni na tę drogę w zimie? — zastanowiłam się głośno.

— Państwo macie tylko malucha?

Zdziwiony był bardzo, jakby w tym kraju po drogach jeździły same mercedesy i ferrari. Gdyby moje zarobki były chociaż tylko w przybliżeniu równe jego notariuszowskim poborom, to też rozbijałabym się najnowszym modelem BMW. Zezowałam na krótkie, serdelkowate i upierścienione paluchy, wybijające jakiś rytm na kierownicy.

Ciekawe, jak on by przeżył za nauczycielską pensję do pierwszego. Nawet na dziesięcioletniego malucha by go nie było stać — oceniłam fachowo acz mściwie.

— Dzisiaj podpisze pani przejęcie spadku — powiedział, — a w skład masy spadkowej wchodzi bardzo porządne audi i terenowy Nissan Patrol. Malucha możecie więc oddać na złom — dorzucił, patrząc na mnie z wyższością, jakby to on był ofiarodawcą tych dobroci.

Informacja zelektryzowała bliźniaki.

— Nissanem będą jeździł do szkoły — zawołał Rafał.

— Audi wracamy do Płocka — wykrzyknęła jednocześnie Jola.

— Po pierwsze, to nie wiem, czy już teraz możemy zabrać audi, a po drugie — tu spojrzałam na mojego kochanego syna, — żeby jeździć czymkolwiek, trzeba mieć prawo jazdy.

Rafał nie miał sentymentu do naszego wysłużonego malucha i oświadczył kiedyś, że nie będzie robił prawa jazdy tylko po to, żeby tłuc się starym rżęchem. Jola miała ten czarowny kartonik od pięciu miesięcy, a ja pozwalałam jej siadać za kierownicą tylko ze mną przy boku. Nie chwając się, byłam dobrym kierowcą i wydawało mi się, że przy mnie nie popełni żadnego błędu.

— Jesteś jak ta kwoka nad jajem — mawiał wówczas Rafał. — Jak się rozbije, to przestanie jeździć, bo nie będzie czym — dodawał.

— Ja też nie będę miała czym — odpowiadałam grobowym głosem, mając świadomość, że na drugi samochód nie mogłabym się już zdobyć z prozaicznego powodu — braku gotówki. Nawet zwrot ubezpieczenia

zdałby się w naszej chudej sytuacji materialnej psu na budę.

Nigdy nie byłam skrzętną, oszczędną gospodynią. W naszym domu pieniądze przeciekały przez palce zawsze i wszystkim. Ale nauczyliśmy nasze dzieci, że nie tylko żołądek jest ważny. Możesz przeboleć wystrzałową kieckę — mawiałam, ale nie oszczędzaj na dobrej książce czy ciekawym koncercie. Duszy też się coś od życia należy. Ale ostatnia informacja magistra Skąpskiego przeważała szalę wartości materialnych nad duchowymi i wiedziałam, że pierwsze, co Rafał zrobi, będzie prawo jazdy.

Kolejny ostry zakręt i nagle przejechaliśmy przez szeroko otwartą bramę. Ta brama była zwieńczeniem muru, obok którego jechaliśmy już od pewnego czasu. Nawet się przez moment zastanawiałam, co się za tym ceglany murzyskiem kryje i doszłam do wniosku, że są to tereny wojskowe, na które wstęp jest surowo wzbroniony. Błąd w myśleniu. To nie był żaden utajniony przed wrogiem poligon wojskowy, ale nasze Pogorzelska. Mówił o tym potężnych rozmiarów napis, wyrzeźbiony w piaskowcu nad bramą. Na wspornikowych słupach pysznił się z obu stron wjazdu herb Kalinowskich, który znałam od dwudziestu lat, bo mój tragicznie zmarły małżonek sygnet z herbem „Zaremba” przechowywał z ogromnym pietyzmem dla swojego syna. Teraz te lwy herbowe przeleciały mi przed nosem, gdy zjechaliśmy z szosy. Jeszcze kilkadziesiąt metrów szutrowej, leśnej drogi i bmw magistra zatrzymało się na szerokim podjeździe przed domem.



To nie był żaden dworek Sopliców. Przypominał stare, angielskie zamożne dwory z filmów z życia wyższych sfer. Z czerwonej, wypalanej cegły, z wystającymi po bokach wieżyczkami, jednopiętrowy budynek w kształcie litery U, z obszernym tarasem i szerokimi schodami, obwieszony winoroślą. Front budynku, stanowiący podstawę litery U to były same drzwi i okna, poprzdzielane filarami, a wychodzące na obszerny taras. Balkony na piętrze były o połowę węższe od dolnego tarasu, ale nawet na nich można byłoby urządzić wieczorek taneczny dla co najmniej 50 par. Boczne skrzydła tego dworu ukrywały się za narożnymi basztami. Wypielęgnowane trawniki i ten „dwór” wyglądały jak sama zjawia. W otwartych gościnnie drzwiach stał elegancki, starszy pan z przepięknym błękitnym dogiem przy nodze. I to był właśnie Kamil. I Karat.

Jola pierwsza dopadła psa. Objęła ramionami potężny kark i wtuliła twarz w stalowe futro, a mądre psisko spojrzało na nas myślącymi oczami, przejechało wilgotnym jęzorem po rozpalonej z nadmiaru wrażeń buzi mojej córki i w jednej chwili wybrało swoją panią.

\* \* \*

Moje prawie pełnoletnie dzieci buszowały cały dzień po stajniach i domu. Do myśliwskiego gabinetu mojego śp. teścia, gdzie siedzieliśmy z magistrem i Kamilem, przeglądając książki i podpisując całą furę dokumentów, dobiegały ich pełne zachwyty okrzyki i basowe poszczekiwania Karata.

— Adrian byłby szczęśliwy, słysząc tu swoje wnuki  
— w pewnym momencie powiedział Kamil.

— Żałuję, że nie było mi dane poznać ojca mojego  
męża — zaczęłam ostrożnie....

— On znał i panią, i dzieci — przerwał mi Kamil.  
— Żałował do końca swojej pochopnej decyzji i potem  
często bywał w Płocku, żeby zobaczyć wnuki i sprawd-  
zić, jak życie. Był jednak zbyt dumny, żeby przyznać  
się do błędu. Testament na rzecz Joli i Rafałka sporzą-  
dził już rok po ich urodzeniu — dodał.

Nie mogłam uwierzyć. Przez tyle lat nasze życie  
było inwigilowane przez mojego teścia jak, nie przy-  
mierając, poczynania KOR-u przez SB i my nic o tym  
nie wiedzieliśmy. Dokładniejsze rozeznania w tej ma-  
terii postanowiłam zostawić na później. Teraz przytła-  
czały mnie, jak marmurowa płyta nieboszczyka, inne  
problemy.

Nadmiar bogactwa, który spłynął na nas dzięki łas-  
kowości świętej pamięci Adriana Kalinowskiego spra-  
wił, że czułam się jak sosna dr. Judyma, rozdarta na  
pół. Z jednej strony pytanie, jak damy sobie radę w roli  
dziedziców na włościach, a z drugiej świadomość, że  
nie muszę już brać pożyczek, aby Rafałowi kupić nowe  
buty i dzinsy sprawiały, że moja dusza i żołądek wy-  
wracały we mnie dzikie koziołki i huštały się jak samo-  
lot w czasie burzy.

Wreszcie późnym popołudniem magister Skąpski,  
zebrawszy wszystkie potrzebne mu podpisy, uroczyście  
oświadczył, że od tej chwili Jola i Rafał Kalinowscy,  
niepełnoletnie dzieci Michaliny i Andrzeja Kalinow-  
skich stają się pełnoprawnymi spadkobiercami fortuny  
po dziadku, a ja jestem pełnoprawnym plenipotentem

tej schedy. Spakował swoje dokumenty do skórzaney walizki, zaszyfrował zamki, jakby się obawiał, że w ostatnim momencie wydrę mu te skarby podstępem, i wyjechał do Leska.

My wracaliśmy do Płocka następnego dnia rano. Był oczywiście płacz, bo kochany, najpiękniejszy i najmądrzejszy na świecie Karat zostawał w Pogorzelskich, ale żadne argumenty Joli nie mogły złamać mojego oporu w tej materii. Takie psisko potrzebowało przestrzeni do życia i codziennego gara żarcia, a nasze M-3 w całości było mniejsze od średniej wielkości pokoju w Pogorzelskich. Ja się nie pisałam na codzienne wielokilometrowe biegi przełajowe, przyczepiona do drugiego końca smyczy.

Nawet nie wiem, kiedy Kamil zapakował do bagażnika kosz z prowiantem. Nawsadzał wiejskich smakołyków tyle, że chyba nasza lodówka pęknie w szwach od nadmiaru jedzenia i zapachów — pomyślałam. Oczywiście wyruszyliśmy do domu naszym nowym środkiem lokomocji — wygodnym, komfortowym audi. Na gospodarstwie pozostawał Kamil i wszyscy byliśmy pewni, że przez te dwa miesiące, pozostałe do naszej przeprowadzki będzie z utęsknieniem czekał na „wnuczęta kochanieńkie”. Już poprzedniego wieczora przy kolacji został „dziadziem” i moje dzieci, które do tej pory nie miały żadnego dziadka, teraz delektowały się tym zwrotem, zasypując Kamila pytaniami i wtrącając tego „dziadzia” do każdego zdania.